Pionierska flotylla

„CICHOOCEANIEC" w zatoce Sidimi. Ani mocna, krótka fala, ani silny wiatr, nie są w stanie zakłócić wyznaczonego kursu jednostki prowadzonej przez sprawną załogę pionierską. Foto CAF

Oto pomocnik dowódcy kutra, junga Wadim Larczenko (z prawej), na stanowisku dowodzenia wraz z sygnalistą Andrejem Zagorskim.

— Kurs 120!
— Jest 120!
— Tak trzymać!
— Jest — tak trzymać!

Wśród szumu fal i świstu wichru padają rozkazy i potwierdzenia ich odbioru. Mali marynarze sprawnie kierują kutrem marynarki wojennej „Cichooceaniec". Załogą dowodzi pionier Wadim Larczenko. Jest poważny i czujny, jego uwadze nie ujdzie najmniejsze uchybienie w wykonywaniu rozkazów przez „matrosów" — rówieśników.

Od pięciu już lat kutry pionierskiej flotylli prują w ćwiczebnych rejsach fale amurskiego zalewu. Stu władywostockich pionierów pragnących zostać marynarzami, szkoli się w morskim fachu pod kierunkiem instruktorów dalekowschodniej floty wojennej.

Pionierzy całe lato spędzają w obozie szkoleniowym, odbywając jednocześnie praktykę na kutrach — „Przymorski Pionier", „Cichooceaniec" i „Dalekowschodnik". Podczas rejsów wykonują pod okiem doroslej załogi wszelkie czynności, związane z prowadzeniem kutrów, obsługują skomplikowane urządzenia i maszyny, uczą się sygnalizacji, klarują swoje jednostki.

Pionierom-„matrosom", poza wachtami na kutrach, ogromnie również imponuje prawo noszenia strojów marynarskich i mian jungów.

Z tych małych „wilków morskich" na pewno wyrosną dzielni marynarze. Bo kto raz zakochał się w morzu...

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 72 (1646) Warszawa, piątek, 8 września 1967 r. Cena 50 gr

TAK POSTĘPUJĄ NASTOLATKI

PANI Józefa Tworkowska, mieszkanka Brodnicy jest inwalidką. Mieszka od lat samotnie, gdyż jej najbliżsi zginęli podczas okupacji hitlerowskiej. Pewnego dnia stało się nieszczęście — upadła, złamała obojczyk. Bezradną i samotną kobietą nikt się nie zainteresował, nie pomógł, by ulżyć w jej smutnej doli.

I oto zapukali do drzwi staruszki dwaj chłopcy — Rysiek Pochroń i Leszek Igielski, uczniowie ósmej klasy jednej z brodnickich szkół. Zapytali, w czym mogliby pani Józefie pomóc. Nie czekali jednak na odpowiedź. Jeden chwycił wiaderko ze śmieciami, drugi skoczył po węgiel.

Było to przed rokiem. Dziś, jak donosi Gazeta Pomorska, w mieszkaniu staruszki-inwalidki jest schludnie, czysto, błyszczy podłoga, w wiaderku jest ciągle węgiel, a w spiżarence żywność. Rysiek i Leszek są w dalszym ciągu „dobrymi duchami" mieszkania przy ul. Przykop 5.

Kiedy chłopcy wrócili z wakacyjnego obozu, pierwsze kroki skierowali oczywiście do pani Józefy, by zapytać o zdrowie, posprzątać, poczynić zakupy.

— Leszek i Rysiek, to moi serdeczni pomocnicy — mówi staruszka. — Oni nie pozwolą mi zrobić krzywdy. Dają mi to poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Tak bardzo jestem im wdzięczna...

OD KLUBU NASTOLATKÓW

Starość często niesie z sobą samotność. Zwłaszcza, jeśli nie posiada się najbliższych — rodziny, przyjaciół. Potrafili to dostrzec dwaj chłopcy z Brodnicy — Rysiek i Leszek. Wnieśli do życia samotnej staruszki promyk radości.

Ludzi, podobnie żyjących jak pani Józefa, jest wielu. Równie samotnych, opuszczonych. Rozejrzyjcie się wokół siebie.

RYBA SPRZED 100 TYSIĘCY LAT

ciekawe

● **Naukowcy i marynarze australijscy, którzy powrócili z wyprawy do Antarktyki przekazali do muzeum Bieguna Południowego niezwykły eksponat. Jest nim 122-kilogramowa ryba-miecz, znaleziona w wieczystych lodach. Według opinii naukowców ryba ta żyła 100 tysięcy lat temu! Mimo upływu tylu lat doskonale zachowało się nawet zabarwienie ciała ryby i kolor oczu.**

POKOCHAŁAM NASZĄ WARSZAWĘ

NIEDAWNO byłam w Warszawie na szkolnej wycieczce. Doznałam wówczas dużo wrażeń, poznałam piękno stolicy. Wiele zawdzięczam naszemu przewodnikowi, który doskonale potrafił o wszystkim opowiedzieć. Przez te kilka dni pobytu w Warszawie, bardzo polubiłam to miasto. Ale przecież w końcu trzeba było pożegnać się i wyjechać.

Nasz przewodnik odprowadził nas do pociągu. Podziękowaliśmy mu za serdeczną opiekę i pożegnaliśmy trzykrotnym: „Hip, hip, hura!"

Lecz oto za chwilę mieliśmy rozstać się z samym miastem. Gdy pociąg ruszył, wyglądając przez okna pociągu, żegnaliśmy się ze stolicą. Po chwili Warszawa, wraz z widocznym z daleka Pałacem Kultury i Nauki, znikła nam z oczu.

Teraz wiem, co kryje się chociażby pod samym tylko słowem „Warszawa". Zrozumiałam wiersze poetów o Warszawie, które są tak śliczne i wiernie oddają urok i piękno miasta. Wiem teraz, że poeta, który chce napisać wiersz o Warszawie, musi ją pokochać, podobnie jak ja. Zazdroszczę koleżankom i kolegom ze stolicy, chociaż moje Wybrzeże jest równie piękne. (rj) **ELA**

„... Ziemia ta, której polskość lud zawsze przesądzał, godna jest takiego pomnika..."

(Z przemówienia Marszałka Polski — Mariana Spychalskiego).

POMNIK POWSTAŃCÓW ŚLĄSKICH

W Katowicach, w centrum miasta, stoi nowy pomnik. Jest to pomnik Powstańców Śląskich. Najwyższy w Polsce i na świecie pomnik z brązu.

Pomnik został odsłonięty 1 września, w dwudziestą ósmą rocznicę napaści hord hitlerowskich na nasz kraj. W wielkiej manifestacji ludności wzięły udział najwyższe władze partyjne i państwowe.

Monumentalny pomnik jest darem Warszawy dla ludności Śląska, której bezprzykładny zryw patriotyczny podczas trzech kolejnych Powstań Śląskich zapisał się złotymi zgłoskami w historii naszego kraju. Trzy ogromne, jakby zrywające się do lotu skrzydła z brązu, symbolizują właśnie kolejne powstania Ślązaków przeciwko tyranii germańskiej w latach 1919, 1920 i 1921.

W fundamentach wspaniałego pomnika umieszczono 21 urn z ziemią z miejsc bitew Powstańców — spod Góry Św. Anny, Kozła, Gogolina, jak również z miejsc bohaterskich walk żołnierza polskiego w czasie drugiej wojny światowej — a więc z Westerplatte i Helu, Narwiku, Monte Cassino, Falaise, Arnhem, Studzianek, Kołobrzegu, Berlina, gdzie zatknięto zwycięskie biało-czerwone sztandary.

Piękny i imponujący jest Pomnik Powstańców Śląskich. Pomysł jego zbudowania zrodził się w roku 1965. Ogłoszono ogólnopolski konkurs, na który wpłynęło aż 116 prac od artystów-rzeźbiarzy z całego kraju. 1 października tegoż roku jury, pod przewodnictwem Marszałka Polski, Mariana Spychalskiego — ogłosiło wyniki. Pierwszą nagrodę otrzymała praca, której autorami okazali się: artysta-rzeźbiarz Gustaw Zemła oraz architekt, a zarazem słynny szermierz — Wojciech Zabłocki. Ich dzieło zostało skierowane do realizacji.

I oto stoi! Wspaniały, monumentalny! Głosi i głosić będzie przez wieki chwałę rewolucyjnego czynu powstańczego ludu śląskiego, który ostał się wszelkim burzom i wichrom dziejowym, nie załamał się pod naporem germańskim, lecz trwał na śląskiej ziemi jak dąb potężny, zawsze gotów swej polskości bronić do ostatniego tchu... (zp)

Uroczystego odsłonięcia pomnika dokonał Marszałek Polski, Marian Spychalski.

Foto CAF

Trzy wielkie skrzydła z brązu symbolizują kolejne Powstania Śląskie. Wysokość skrzydeł sięga od 10 do 14 metrów. Dorównują one swoimi rozmiarami 4-piętrowej kamienicy.

Pomnik został odlany w brązie w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych. Nie został odlany w całości, lecz składa się z 359 elementów.

Wieczorem pali się ZNICZ

● Wczoraj wieczorem poszedłem popatrzeć na pomnik Powstańców Śląskich. O zmroku sprawia on większe wrażenie niż podczas dnia, gdyż jest pięknie oświetlony — przez specjalne reflektory. Oświetlona jest również zieleń dookoła pomnika. W sumie reflektorów jest aż czterdzieści.

W pewnej odległości od pomnika i nieco niżej postawiono 11 kamiennych law. Usiadłem sobie na jednej i w milczeniu patrzyłem na dzieło artysty rzeźbiarza Gustawa Zemły. Tak samo jak ja patrzyli na pomnik inni. Wśród siedzących zauważyłem wielu starych ludzi. Niektórzy mieli na garniturach wysokie odznaczenia państwowe. Domyśliłem się, że ci starsi to na pewno powstańcy śląscy.

W trzecim powstaniu śląskim brało udział 60 tysięcy Ślązaków. Wielu z nich zginęło w walkach o polskość śląskiej ziemi, wielu wyniszczyli hitlerowcy w czasie II wojny światowej. Mścili się na nich za to, że byli Polakami i walczyli o Polskę. Dziś żyje jeszcze 9 tys. powstańców śląskich.

Ludzi wciąż przybywało. W pewnej chwili stanął koło mnie starszy, siwy pan. Podpierał się laską. Patrzył na pomnik i na płonący u jego stóp wieczny znicz. Wspominał pewnie chwile, kiedy był młody, i z karabinem w ręku bronił tej ziemi, na której teraz stał. Ustąpiłem mu miejsca.

KAROL DOMARSKI
Katowice

„Astronautki" radzą jak się uczyć

● Rozpoczął się rok szkolny. Kupujemy nowe podręczniki, zeszyty, mobilizujemy się do pracy i obiecujemy sobie i rodzicom, że już od dziś będziemy się solidnie uczyć. Jednak później, w praktyce, różnie to bywa.

We wrześniu słońce świeci jeszcze długo i ciepło. Nęci nas popołudniowa zabawa z kolegami, która często przedłuża się aż do wieczora. W rezultacie przychodzimy zmęczeni i dopiero wtedy zabieramy się do pracy. W szkole również jesteśmy jeszcze pod wpływem wakacyjnych przygód i przeżyć. W konsekwencji stopnie na pierwszy okres nie są „różowe".

Chcielibyśmy doradzić naszym koleżankom i kolegom, aby już teraz zechcieli ułożyć sobie plan dnia i starali się o to, aby znalazł się w nim czas przede wszystkim na naukę, a także i na rozrywkę, która jest również bardzo ważna. Radzimy przeczytać — książkę pt. „Jak się uczyć". Racjonalnie rozłożone zajęcia i dobre chęci pomogą nam na pewno w zdobyciu dobrych stopni, czego wszystkim czytelnikom życzą.

„ASTRONAUTKI"
z Rogoźnika

CZY SZCZĘŚLIWA TRZYNASTKA?

9 września, w Tomaszowie Mazowieckim, uroczyste otwarcie XIII Lekkoatletycznego Czwórboju o Puchar „Świata Młodych".

W tym roku nowy regulamin — zamiast rzucać piłeczką palantową — można pchać kulą — ale tylko za zgodą nauczyciela wf.

PRZYPOMINAMY:

● **w Czwórboju walczą 10-osobowe drużyny (5 dziewcząt i 5 chłopców), w dwu grupach: 10-11 lat i 12-13 lat**

● **zawody obejmują: bieg na 60 m, skoki — w dal i wzwyż, oraz rzut piłeczką palantową albo pchnięcie kulą (3 kg — dziewczęta i 4 kg — chłopcy)**

● **we wrześniu zawody w szkołach: eliminacje klasowe, zawody między klasami (mogą też występować reprezentacje drużyn harcerskich) oraz finały celem wyłonienia reprezentacji szkoły na zawody powiatowe.**

CZWÓRBOIŚCI NA START!

Każdy uczeń szkoły podstawowej bierze udział w zawodach!

Foto. St. Borowiecki

MOJE WYMARZONE WAKACJE

Księżycowa przyjaciółka

DO KLASY WJECHAŁ naumózgel (nauczycielski mózg elektronowy) i powiedział swoim niezbyt miłym głosikiem:

— Napiszcie, jak spędziliście wakacje!

Wszyscy z radością chwycili za swoje wiecznopisy i plastikowe zeszyty. Tyle przygód się zdarzyło w ciągu tych dwóch miesięcy! Tylko Cza-cza siedziała zamyślona. Co ona napisze? Że była na Księżycu? Ale kto jej uwierzy? Przecież skafandry dla dzieci i młodzieży dopiero zaczęto produkować. Pomyślą, że ma zbyt bujną wyobraźnię. Ale przecież dokładnie pamiętała cały przebieg tej dziwnej historii.

Była noc. Sztuczne gwiazdy oświetlały okno jej pokoju, a ona wspominała swych rodziców, którzy byli na delegacji służbowej. W pewnej chwili ujrzała w powietrzu dziwną maszynę, która leciała z olbrzymią prędkością. Zdziwiona wybiegła na ruchomy balkon i wyszła z niego oślepiona. To maszyna w kształcie sześcianu wylądowała właśnie tu, na balkonie! Bił od niej wielki blask. Co to jest? Nagle przypomniały jej się wszystkie powieści fantastyczne. Czyżby to byli Marsjanie lub Księżycowi Ludzie? Ale nie, chyba niemożliwe. Tam nie ma przecież żadnych żywych istot.

Tymczasem z latającego sześcianu zaczęły wychodzić dziwne, wysokie i matowe postacie.

„Czego oni chcą?" — myślała gorączkowo Cza-cza.

Z sześcianu wyszła mała dziewczynka. Była raczej podobna do starszej pani, ale ten jej niski wzrost... Uśmiechnęła się do Cza-czy i zaprosiła gestem do wnętrza pojazdu.

Dziwne, wielkie urządzenia przeznaczone były chyba dla wielkoludów (a przecież sześcian był taki mały!) I jeszcze ta ruchoma podłoga. Zupełnie jak ruchome korytarze w szkołach. Mała dziewczynka z rukiety znowu się uśmiechnęła i powiedziała drżącym metalicznym głosem:

— Nazywam się Ju-u. Mieszkam na Księżycu. Przyleciałam tu z moimi kolegami (specjalnie przybrałam ziemską postać), aby poznać, jak wy tu żyjecie. Bądź tak łaskawa i opowiedz mi o waszym życiu. Potem odwiozę cię na moją planetę.

Cza-cza zaczęła opowiadać o życiu Ziemi, o ludziach, niedawnych wojnach, nowych wynalazkach technicznych, wielkich budowlach. Ju-u słuchała z zaciekawieniem.

— A teraz, jedziemy na Księglob! — powiedziała.

— Czy tak w waszym języku nazywa się Księżyc? — spytała Cza-cza.

— Och, przepraszam! Zapomniałam, że rozmawiam z ziemską istotą — odpowiedziała Ju-u i nacisnęła jeden z wielu fioletowych guziczków. Sześcian ruszył!

— Zaczekaj, daj mi założyć skafander! — krzyknęła Cza-cza.

— Tutaj nie jest on potrzebny — wytłumaczyła jej towarzyszka podróży.

— A ci twoi koledzy?

— Oni są już dawno na Księżycu — zaśmiała się Ju-u. — My już zresztą też! Co się tak zdziwiłaś? Załóż ten „hełm" na głowę. O tak! A teraz, wysiadka!

Tak rozpoczęła się wędrówka z Ju-u. Księżycowa dziewczynka była bardzo miła i koleżeńska. Chodziły obie po górach księżycowych, zwiedzały kratery, doliny, oceany... Spoglądały na cudne krajobrazy, których dotąd nie ujrzały oczy ludzkie. Owszem, ludzie lądowali na Księżycu, a nawet wychodzili z rakiety i brali próbki „ziemi księżycowej" ale jeszcze nikt nie wyszedł tak daleko. A one chodziły po całym Księżycu.

Na koniec podróży Ju-u dała Cza-czy mały guziczek ze swoją sylwetką, mówiąc:

— Gdy ten guziczek naciśniesz, wtedy ukażę ci się, ale już ostatni raz! Pamiętaj!

Kiedy Cza-cza wróciła na Ziemię przyrzekła sobie, że naciśnie go dopiero za kilka lat.

Teraz, w szkole, w czasie lekcji języka międzynarodowego, gdy spoglądała na guziczek Ju-u, wspominając tak niedawne chwile, nacisnęła go niechcący. Ju-u natychmiast się zjawiła, nikt jej nie widział, z wyjątkiem Cza-czy.

— Czy tak prędko zatęskniłaś za mną? Spójrz na mnie, ale pamiętaj — to już ostatni raz!

— Nie! Zostań ze mną! Mnie tu nikt nie lubi, wyśmiewają się ze mnie. Zostań!

— Nie, Cza-cza! Nie mogę! Takie jest prawo mojej planety! Żegnaj!

— Ju-u zostań! Proszę cię... — krzyczała rozpaczliwie Cza-cza.

Ale Ju-u już nie było. Nagle naumózgel poruszył niespokojnie swą „głową".

— Cza-cza! Do kogo tak krzyczysz? Napisałaś już wypracowanie? Gdzie ty byłaś w czasie wakacji?

— Na Księżycu — odpowiedziała. Wiedziała, że teraz wszyscy roześmieją się. I tak było. Chłopcy pękali ze śmiechu. A dziewczynki uśmiechały się drwiąco. Uratował Cza-czę koniec lekcji. Naumózgel włączył ruchome wyjście i wyjeżdżając powiedział:

— Na drugi raz dostaniesz ocenę zerową. Dziś ci przebaczam!

Cza-cza go nie słyszała, w oczach miała ciągle obraz jej jedynej przyjaciółki — Księżycowej Dziewczynki. Nie zobaczy jej już nigdy. (rj)

Cza-cza

Ania Peryt — Warszawa

Na naszą prośbę, abyście przysyłali małe opowiadania fantastyczne o swoich wymarzonych wakacjach — odpowiedziało bardzo wielu czytelników. Nie wszystkie prace mogliśmy oczywiście wydrukować, ale za wszystkie bardzo dziękujemy.

Opowiadaniem Ani kończymy tę serię — a tym z Was, których bawi pisanie opowiadań, proponujemy następny temat:

„Zdarzyło się to jesienią..." Możecie pisać o wszystkim, o czym chcecie, byle tylko wiązało się z jesienią. Czekamy na listy i opowiadania.

„ŚWIAT MŁODYCH"

Rys. M. Teodorczyk

WŁAŚCIWIE to jest do dziewcząt, ale jak chłopcy chcą przeczytać, - to też ostatecznie mogą. Zwłaszcza że ostatnio różnica między chłopcami a dziewczynami tak się zaciera, że ja już sama nie wiem — kto jest kto?

Bo tak — jadę sobie tramwajem, a przede mną bardzo ślizgana bluzeczka w łączkę („Gdzie ona taką kupiła?") — i bardzo długie loki. („Bluzkę ma ładną, ale włosy mogłaby sobie umyć"). Tramwaj się kiwnął, ja stuknęłam bluzkę w plecy, więc jako osoba dobrze wychowana mówię:

— Przepraszam panią!

A „pani" odzywa się męskim basem:

— No, no, tylko nie „panią" dobrze?...

I okazało się, że to nie żadna ona, tylko on.

Więc ponieważ, jak powiedziałam, różnice w wyglądzie się zacierają, strasznie się boję, że niedługo zatrą się również różnice w upodobaniach, zainteresowaniach i umiejętnościach. Bo dotychczas dziewczyny były znane z tego, że nie potrafią

zreperować bezpieczników w domu, że nie umieją trzymać młotka i wbijać gwoździ, i że jak zaczynają wkręcać śrubkę to zawsze ją wkręcają nie w tę stronę, w którą trzeba... A chłopcy takie rzeczy zawsze umieli i nic co techniczne nie było im obce.

A jeśli teraz nagle przestaną umieć? Jeśli wezwać do pomocy w wypadku jakiejś awarii domowej powiedzą:

— Na medzie to my się znamy lepiej od niejednej damy, ale na śrubkach to, przepraszamy, niestety nie...

No, to co wtedy zrobimy?

Tak, tak nie ma rady tylko trzeba się tego, proszę pań, na wszelki wypadek nauczyć. I dlatego proponuję, żeby każda z nas kupiła sobie jak najszybciej w najbliższym kiosku „Ruchu" „Terminarz Majsterkowicza" na rok szkolny 1967—1968 (bo ten terminarz to w ogóle świetny pomysł i redaktorom, którzy wpadli na ten pomysł, należą się duże brawa). Opracowała go redakcja Horyzontów Techniki dla Dzieci, a wydały Wydawnictwa Czasopism Technicznych NOT).

Terminarz kosztuje wprawdzie 5 złotych (moim zdaniem powinien być tańszy!), ale za to:

Po pierwsze — jest jedynym kalendarzem, który zaczyna się od września (a więc od początku roku szkolnego) i kończy na ostatnim dniu sierpnia następnego roku. A my przecież nie planujemy swego czasu tak jak dorośli, którzy nie mają szkolnych obowiązków.

Po drugie — na początku ma kilka bardzo ważnych rubryk, w które oprócz swoich danych personalnych można wpisać również numer legitymacji szkolnej, książeczki PKO, zegarka, roweru i — najważniejszą chyba rubrykę — miejsce, w którym szkolne ambulatorium może wpisać grupę krwi właściciela terminarza. Taka rubryka powinna być koniecznie na wszystkich dowodach osobistych, ale jeszcze jej nie ma, a tu — jest!

Po trzecie — oprócz miejsca na wpisanie planu lekcji w terminarzu są również rubryki na wzory, które trzeba zapamiętać i na oceny szkolne.

Po czwarte — poza dużym

działem pt. „Poradnik majsterkowicza", gdzie wszystkie porady są nie tylko opisane ale również narysowane, są w nim także działy, jak: tablica znaków drogowych, wiadomości z geografii, notatnik sportowca, harcerskie porady biwakowe, pierwsza pomoc w nagłych wypadkach i sporo miejsca na notatki, adresy i telefony.

A do terminarza dołączona jest ankieta z pytaniami — co w nim w następnym roku ulepszyć, co zmienić i poprawić, a najciekawsze odpowiedzi na ankietę będą nagradzane. I to nie byle czym, bo nawet magnetofon można wygrać.

Więc radzę się pospieszyć i wędrować do najbliższego kiosku „Ruchu" po ten „Terminarz Majsterkowicza". Ja sobie już kupiłam. Bardzo ładnie się prezentuje — okładka zielona, plastikowa i ... — bardzo was przepraszam, ale w redakcji „wysiadło" właśnie światło. Pewnie

przepaliły się bezpieczniki. Więc otwieram mój terminarz na str. 79 i ... nie będę mówiła:

— Panie redaktorze, niech pan mi pomoże — tylko sama wszystko zreperuję!

KAROLINKA

Przypisek od redakcji:

PRZED CHWILĄ PRZESZŁA BOJOWY CHRZEST. ZREPEROWAŁA! ŚWIATŁO JUŻ JEST!!!

Przez góry i pustynie Środkowej Azji (8)

WIEDZIAŁEM Z GAZET: 25.000 domów zostało zniszczonych, 35.000 rodzin było pozbawionych dachu nad głową.

ODRADZANO MI: po co masz tam jechać? Na ludzkie nieszczęście się patrzeć? Tam ziemia wciąż się trzęsie. Samemu chcesz się narażać?

SŁYSZAŁEM JEDNAK: zniszczonemu przez trzęsienie ziemi miastu pospieszył z pomocą cały Związek Radziecki. Właśnie przykład Taszkientu najlepiej ukazuje, co to znaczy braterstwo ludów żyjących w ZSRR, co to znaczy serdeczna przyjaźń.

MÓWIONO MI JESZCZE W POLSCE: wielu naszych obywateli losy wojny zagnały do dalekiego Uzbekistanu. Wielu Polaków właśnie w Taszkiencie zaznało niezwykle serdecznej gościnności. Dzielono się z nimi wszystkim: mieszkaniem, odzieżą, jedzeniem. A były to trudne lata dla Związku Radzieckiego, kiedy wojska hitlerowskie stały nad Wołgą, kiedy cały wysiłek narodu skierowany był na pomoc dla ciężko walczących na froncie oddziałów.

ZOBACZYŁEM NA WŁASNE OCZY: ponad milionowe miasto żyje dziś normalnie. W rok po pierwszym trzęsieniu ziemi, mimo stale powtarzających się wstrząsów, na ulicy tłumy rozbawionej młodzieży, w sklepach ożywiony ruch. Ruiny uprzątnięto, a na ich miejscu wznoszą się nowe, piękne dzielnice.

W samo upalne południe samolot „Aeroflotu", kursujący na linii Duszanbe — Taszkient — Leningrad, wylądował w stolicy Uzbekistanu.

I rzeczywiście! Im bliżej centrum, tym więcej rozległych placów.

— To jak u was, w Warszawie, czy Wrocławiu — mówi Faryda. — Też zaraz po wojnie najpierw uprzątaliście gruz, porządkowaliście teren. Na miejscu zniszczonych domów powstawały zieleńce i skwery. Na razie kończymy budowę dzielnic na przedmieściach. Dopiero później budowlani wejdą do centrum.

Parada pionierów była wspaniała. 10.000 zjechało ich do Taszkientu z całej Republiki. Szły barwne grupy przebrane w historyczne stroje. Przed trybunami, odtwarzali pionierzy walkę Krasnoarmiejców z bandami kontrrewolucyjnymi. Jechały samochody ciężarowe naładowane złomem zebranym przez różne szkoły taszkienckie. Zuchy, w spiczastych czapach noszonych przez czapajewców (pamiętacie chyba film o tym legendarnym dowódcy Czerwonej Armii) przejechały na drewnianych koniach. Na platformach mijały nas makiety rakiet, a przy nich stali pionierzy w strojach kosmonautów.

Patrząc na to tętniące życiem

771 razy

FARYDA MAMANADŻANOWA, redaktorka naczelna „Pionier Wostoka", jest bardzo młodą i bardzo piękną kobietą. Faryda jest Uzbeczką, ale swoje wiersze pisze po rosyjsku. Urodziła się w Namanganie, ale od lat mieszka w Taszkiencie. Przeżyła też wszystkie trzęsienia ziemi, a było ich w ciągu jednego roku aż 771. Tych najcięższych, o mocy 7 stopni i tych lżejszych — liczących zaledwie 2—3 stopnie.

Faryda oczekiwała nas na lotnisku. Stąd ruszyliśmy na centralny plac miasta, gdzie właśnie odbywała się wielka uroczystość pionierska. Jechaliśmy tam przeszło 40 minut szerokimi, nowoczesnymi ulicami, zabudowanymi wielopiętrowymi domami. Początkowo nic nie wskazywało, że miasto przeżyło swoją wielką tragedię.

— Epicentrum*) — wytłumaczyła mi Faryda — znalazło się pod samym śródmieściem, zabudowanym starymi domami, pamiętającymi jeszcze carskie czasy. Te domy, najczęściej z gliny, uległy zniszczeniu. Nowe, budowane już w specjalny sposób — ocalały.

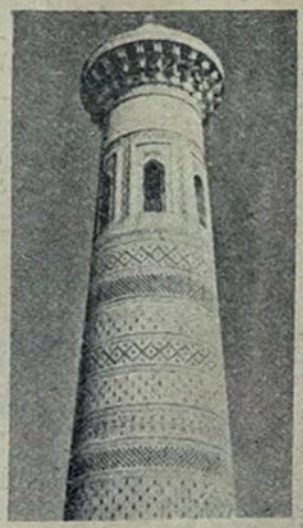

Uzbekistan ma długą i niezwykle ciekawą historię. Na tych ziemiach powstało w XVI wieku olbrzymie imperium Tamerlana (Timura). Z tych czasów zachowało się wiele pięknych budowli.

miasto, aż trudno było uwierzyć, że rok temu...

Godzina 5 minut 23

ZMĘCZENI PODRÓŻĄ, a potem parogodzinnym obserwowaniem pionierskiej defilady — z dużą ulgą usiedliśmy w chłodnej sali kawiarnianej. Przy lodach Faryda mówiła:

— W Środkowej Azji trzęsienia ziemi nie należą do rzadkości. Najczęściej zdarzają się w terenach górzystych, słabo zaludnionych. Ale np. w 1948 roku, Aschabad, stolica Turkmenii, została doszczętnie zniszczona. W Taszkiencie od blisko 100 lat ziemia ani drgnęła. Dopiero 26 kwietnia... To było straszne! O godzinie piątej minut 23 tysiące domów legło w gruzach. Szybko udało się opanować panikę. Wyobraź sobie ulice, na których wśród potłuczonych wystaw leżały różne towary i nikt ich nie ruszał. Wyobraź sobie,

HARCERSKIE DOŻYNKI

W tych dniach odbywało się w całym kraju święto plonów. We wsiach, miastach wojewódzkich, a w ubiegłą niedzielę centralne uroczystości dożynkowe miały miejsce w samej Warszawie.

Harcerze jednej z rzeszowskich drużyn wpadli na pomysł

Tak wyglądały stare domy Taszkientu po trzęsieniu ziemi. Te, które częściowo ocalały, rozbierano. Na ich miejscu powstają nowoczesne dzielnice, budowane przez wszystkie republiki ZSRR.

...nad ...CHU

że tego samego dnia w zakładach pracy stawili się wszyscy robotnicy.

Drugie trzęsienie ziemi, równie silne, równie tragiczne w skutkach, powtórzyło się w kilka dni później, W nocy z 9 na 10 maja.

W parkach, na placach wyrosły wtedy całe miasteczka namiotów. Tam przenieśli się ludzie z rozwalonych domów. Dzieci wysłaliśmy do różnych miast Republiki, do różnych miast Związku Radzieckiego. Dorośli zostali.

— Czy baliśmy się?

Bałam się wieczorem kłaść do łóżka. Zdawało mi się, że znów będzie trzęsienie ziemi, że tym razem sufit się zawali i pogrzebie mnie żywcem. Ale rano szłam do pracy jak tysiące mieszkańców.

Pamiętam... Potrzebna mi była do napisania artykułu jakaś książka. Można ją było znaleźć tylko w Bibliotece Miejskiej. Przychodzę... Część pomieszczeń zniszczonych. W innych u wejścia kartka: „Wstęp wzbroniony! Budynek grozi zawaleniem". Ale w środku ludzie. Pracują jak zwykle. Dostałam potrzebną książkę, a przy okazji dyrektor biblioteki pokazał mi kartkę. Na kartce był napis: „Ja, Kitkowicz E. N., nie bacząc na zakaz dyrekcji wejścia do zagrożonego budynku, będę pracować w dziale starych i rzadkich wydawnictw, przygotowując je do ewakuacji".

Takich przykładów było więcej. Akurat w czasie tych najgroźniejszych wstrząsów trwały u nas dni kultury ukraińskiej, a galowe przedstawienie było zapowiedziane na 12 maja. Długo dyskutowano: organizować przedstawienie, czy też nie. Przedstawienie ostatecznie się odbyło, sala była pełna, z wyjątkiem miejsca pod olbrzymim żyrandolem. Ludzie wierzyli, że w razie czego — budynek wytrzyma, sufit się nie zawali, ale kryształowy żyrandol?... Siedziałam na balkonie i ile razy spojrzałam na parter, tyle razy krztusiłam się od śmiechu. Głowa przy głowie, tylko w samym środku okrągła duża łysina pustych foteli.

Spikerka z rozbitego studia

W MAJU był jeszcze jeden wstrząs. Wtedy właśnie pękła ściana telewizyjnego studia. Spikerka czytała akurat tekst. Zbladła — dwa, trzy razy się pomyliła, ale bohatersko dotrwała do końca. Nikt z widzów odbierających program w całej Republice nawet nie domyślił się, co się stało.

Zapytana potem Mielnikowa powiedziała: „W pierwszej chwili zdawało mi się, że studio się zawali. Chciałam wszystko zostawić i uciekać, ale potem zrozumiałam, że moja panika udzieli się milionom telewidzów, więc zostałam."

— Zostaliśmy wszyscy — mówiła dalej Faryda. — Jedni zamieszkali w namiotach, inni zostali przygarnięci przez zupełnie obcych ludzi z ocalałych dzielnic Taszkientu. Do jednego mieszkania przyjmowano po kil-

Tekst i zdjęcia Jerzy B. Klima

najgroźniejszy jest strach, poczucie bezradności, osamotnienia. Kiedy jednak człowiek zaczyna walczyć, kiedy czuje, że ramię w ramię z nim stoją inni, że człowiek człowiekowi jest bratem — wtedy można stawić czoła największej nawet grozie.

Tej nocy długo przemyśliwałem wrażenia dnia i, co tu ukrywać, trochę się bałem. Z trzeciego piętra hotelu nie tak szybko można wydostać się na ulicę... Kiedy wreszcie zasnąłem, nagle jakaś potężna siła wypcha

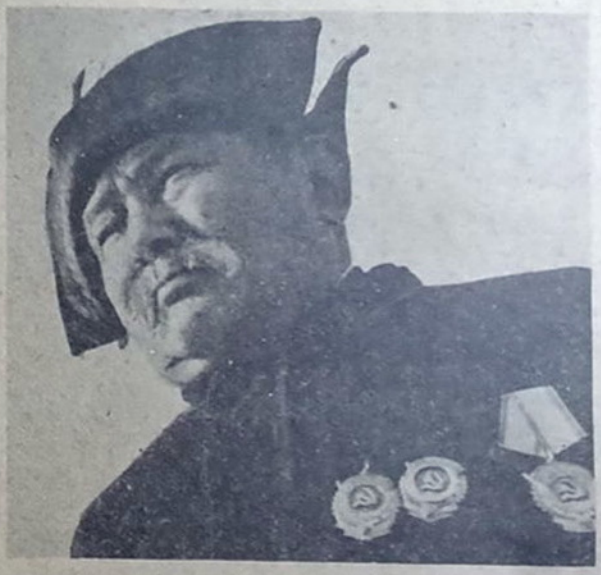

Taszkient zamieszkuje około 80 różnych narodowości, które zgodnie ze sobą żyją. W czasie groźnych dni trzęsienia ziemi przychodziły sobie z prawdziwie braterską pomocą. Na fotografii — stary Kirgiz.

ka osób. Dzielono się wszystkim — jak wtedy, w latach wojny, z Polakami. W „Oktiabrskim" rejonie znalazło schronienie 14.000 ludzi. Na innych przedmieściach było podobnie. Zniszczonemu miastu trzeba było dowozić jedzenie, nawet chleb transportowano z daleka, bo piekarnie były rozwalone. Kierowcy samochodów ciężarowych pracowali dzień i noc. Potem z całego Związku Radzieckiego fachowcy zgłaszali się z pomocą.

— Teraz, jak widzisz, milionowe miasto żyje normalnym życiem. Przywykliśmy już do wstrząsów. Przestaliśmy się ich bać. A w każdym nieszczęściu mnie w sprężyny materaca, a potem ciska o ścianę. Obolały wyskoczyłem na środek pokoju. Ale już było po wszystkim. Przez chwilę nawet myślałem, że to sen. Ale stłuczona szklanka, porozrzucane rzeczy na podłodze?... Przesiedziałem resztę nocy na krześle. Rano przeczytałem w gazetach, że nowy wstrząs trwał przez 15 sekund i miał siłę 5 i 1/2 stopnia.

*) EPICENTRUM — centralny punkt obszaru na powierzchni Ziemi, leżący bezpośrednio nad ogniskiem (miejscem, z którego rozchodzą się fale sejsmiczne) trzęsienia ziemi (Wielka Encyklopedia Powszechna).

---

zorganizowania u siebie harcerskich dożynek.

No i tak się zaczęło. Roboty starczyło dla wszystkich zastępów. Asia i Lusia wzięły się do przygotowania dożynkowego wieńca, Jadzia i Irka „dowodziły" uczącymi się prawidłowego odśpiewania obrzędowej pieśni: „PLON NIESIEMY, PLON...", Basia objęła „dowództwo" nad tancerzami. Trzeba było postarać się jeszcze o stroje. Z pomocą i radą przyszła druhna Stenia z komendy hufca.

Przygotowania trwały przez dwa dni. Na trzeci dzień harcerze pięknie ustrojonym korowodem, z wieńcem dożynkowym, wyszli na scenę. Wojtek Woźnica, starosta harcerskich dożynek, przystrojony w długą lnianą koszulę przyjął wieniec, plony i symboliczny bochen chleba, którym poczęstował gości.

Licznie zebranym widzom podobały się regionalne tańce, choć nie dla wszystkich harcerzy starczyło strojów i niektórzy tańczyli po prostu w harcerskich mundurkach. Dożynki zorganizowane przez harcerzy hufca Rzeszów udały się na sto dwa.

STEFAN KOJŁO
Zdjęcia autora

ŁOWCY PTASIEGO ŚPIEWU

W czasie wędrówek do lasu z przyjemnością przysłuchiwałem się pięknym śpiewom ptaków. Wtedy to właśnie postanowiłem wraz z kolegami nagrać odgłosy lasu na taśmę magnetofonową. Magnetofon udało się nam pożyczyć od kierownika szkoły, któremu nasza inicjatywa bardzo przypadła do gustu.

I tak się zaczęło. Dzisiaj, po kilkunastu dniach pracy możemy się poszczycić utrwaleniem na taśmie śpiewu wilgi, kosa, szpaka, słowika i wielu innych ptaków.

Nasza akcja trwa nadal. Wódz naszego szczepu, „Złamany Tomahawk", zachęca wszystkich do zajęcia się tą sprawą.

Andrzej Ogrodowczyk
Kowale

Gang z ulicy Brzeskiej

25

STANISŁAWA PLATÓWNA

Rozdział XVI

Oj, moja biedna głowa!

A WIĘC jednak pojechałem na wakacje! I to nad morze! Łódeczka jest mała, ledwo się w niej mieszczę, ale za to jak przyjemnie bujają mnie morskie fale. Do góry, na dół, do góry, na dół, woda jest zielona, a postrzępione grzbiety fal białe. Jak przyjemnie, jak wesoło...

Na drugiej łódce płynie ojciec z mamą, więc jednak nie pojechał do Bułgarii, został z nami... Jak to dobrze tatusiu, że wróciłeś, bardzo mi byłeś potrzebny, tęskniłem za tobą. Ale już wszystko w porządku. Oj, trochę za dużo tego bujania, fale robią się coraz większe. Cóż to znaczy, nie ma morza, ta łódka to karuzela. Skąd tutaj wzięła się karuzela? O, jak szybko kręci się cały świat. Nie, to nie jest przyjemne, wolę wysiąść, dlaczego nikt nie zatrzymuje silnika, jak długo będziemy się kręcić?

Czuję w rękach coś miękkiego, to chyba poduszka, skąd tu się wzięła poduszka? Otwieram ostrożnie jedno oko, widzę coś białego. Czy to śnieg? Oj, jakie ciężkie mam powieki, same się zamykają, nie chcą mnie słuchać. No, nareszcie, oczy otwarte. Ejże, gdzie ja jestem? Nie ma morza, nie ma wesołego miasteczka, nie ma śniegu. Leżę w łóżku przykryty białym kocem, naprzeciwko widzę okno, ale to nie okno mojego pokoju. Nie ma czerwonego muru, są drzewa, zielone korony drzew.

Chcę unieść głowę i rozejrzeć się po tym nieznanym miejscu. Oj, to nie takie łatwe, co ja mam w głowie, że zrobiła się nagle taka ciężka? I dlaczego tak boli? A noga? Co się stało z moją nogą? Spod koca sterczy jakiś gruby biały wałek. Nie, muszę się podnieść, zobaczyć, co się ze mną dzieje. Jęknąłem głośno, poczułem ból w karku i w obandażowanej nodze. Ktoś obok mnie poruszył się, usłyszałem głos:

— Nareszcie odzyskał przytomność. Zadzwońcie po pielęgniarkę.

Ktoś otworzył drzwi, do pokoju weszło kilkoro ludzi w białych fartuchach. Zbliżyli się do mnie.

— Brawo, widzę, że już wróciłeś między żywych — powiedział niski, łysawy brunet ujmując moją dłoń i szukając pulsu.

— To ja... ja umarłem? — spytałem z przerażeniem.

— Co ty opowiadasz, chłopcze! — roześmiał się lekarz. — Byłeś długo nieprzytomny, miałeś wstrząs mózgu, potem przyplątała się gorączka. Nieźle cię urządzili ci złodzieje, którym przeszkodziłeś we włamaniu.

Usiłuję podnieść się na łóżku.

— Leż spokojnie — gromi mnie lekarz — nie wolno ci się jeszcze ruszać, ani za dużo mówić.

Mimo to pytam, wskazując na biały pakunek wychylający się spod koca.

— A to co znaczy?

— Masz nogę w gipsie. Ale to drobiazg, proste złamanie, za miesiąc będziesz tańczyć. A teraz wypij to i postaraj się zasnąć. Podaje mi kieliszek z jakimś brązowym płynem. Posłusznie wypijam. Fuj, jakie gorzkie!

Pielęgniarka poprawia mi poduszki, wygładza prześcieradło, strzepuje koc, podkłada pod złamaną nogę śmieszny twardy wałek. Chcę zapytać, gdzie mama, kiedy przyjdzie, co się stało z Szefem, z Ewą, z Saksofonem... Ale białe postacie zaczynają dziwnie drgać, falować, potem odpływają gdzieś daleko. Zasypiam.

Budzi mnie uczucie chłodu na czole. Coś miękkiego dotyka mojej obolałej głowy. Mama! To mama siedzi przy mnie, położyła mi dłoń na czole i gładzi lekko, delikatnie.

— To ty, dobrze, że przyszłaś — szepcę cichutko.

— Leż spokojnie, Tomeczku — słyszę głos mamy — lekarz zabronił ci siadać.

Chcę powiedzieć jej, że strasznie się cieszę, że okropnie ją kocham, że jest mi tak dobrze, ale powtarzam tylko raz po raz bez sensu, jak małe dziecko.

— Mamo, mamusiu...

— Już dobrze synku, wszystko będzie dobrze. Byłeś bardzo chory, ale to już minęło. Pan doktór powiedział, że niedługo wrócisz do domu.

— Czy ja długo tu leżę? — pytam i dziwię się, że nic nie pamiętam.

— Dziś piąty dzień — mówi mama głosem, w którym czuję wzbierające łzy.

— Nie płacz — próbuję ją pocieszyć — przecież sama mówiłaś, że już wszystko dobrze. Noga się zrośnie, żeby tylko ta moja biedna głowa tak nie bolała!

— Tak, tak — mówi mama mężnie połykając łzy — wszystko będzie dobrze.

Nagle przypominam sobie Ewę, Szefa, włamanie...

— Mamo — pytam z lękiem — ty wiesz o wszystkim?

— Tak — kiwa mama potakująco — od Ewy Koronowskiej. Czekała na mnie przed szpitalem.

— Ewa? Naprawdę?

— Tak. Zaraz po twoim wypadku sąsiedzi dali mi znać do biura, że jesteś ranny i pogotowie zabrało cię do szpitala. Oj, Tomku, co ja wtedy przeżyłam! Biegłam, jak nieprzytomna, o mało nie wpadłam pod tramwaj.

— Dlaczego nie uważasz? — pytam surowo. — Mnie zawsze upominasz...

— Głuptasie — przerywa mi mama — w takiej chwili nie myśli się o niczym. Przecież nawet nie wiedziałam, czy żyjesz!

— A Ewa? — pytam i czuję, że rumieniec zalewa mi policzek.

— Miałeś rację Tomku, to dobra dziewczyna. Nie chcieli jej wpuścić do szpitala, do wieczora siedziała pod bramą i czekała na mnie, żeby się dowiedzieć, jak się czujesz.

— Widzisz? — mówię z dumą pomieszaną z zawstydzeniem.

— To ona mi powiedziała — mama udaje, że nie widzi moich czerwonych policzków — że ci szkaradni chłopcy zmusili cię, abyś ich wpuścił do domu, że przez nasze mieszkanie weszli do tych biednych staruszków i że ty pokrzyżowałeś im plany. Jestem z ciebie bardzo dumna Tomku. Postąpiłeś dzielnie i uczciwie.

Czuję, że robię się jeszcze czerwieńszy. Akurat, zasłużyłem na te pochwały, na wzrok mamy pełen czułości i dumy! Ewa powiedziała mamie tylko część prawdy, ale ja powiem wszystko!

— Mamo — zaczynam i czuję, że serce podskakuje mi do gardła — ja muszę ci wyjaśnić...

— To już potem, nie wolno ci się męczyć. I tak za dużo rozmawiasz.

— Ale ja muszę, mamo, naprawdę — upieram się.

Czuję się okropnie, dusi mnie wstyd. Po tym wszystkim, co narozrabiałem — same pochwały! Otwierają się drzwi, wchodzi lekarz, sunie prosto do mojego łóżka. Łapie mnie za rękę.

— Co, puls prawie stoi! To są właśnie skutki wizyt. Mówiłem pani, że chłopiec ma leżeć spokojnie, nie wolno mu rozmawiać.

Mama coś tłumaczy zirytowanemu lekarzowi, ale tak cicho, że nic nie słyszę.

Rys. St. Rozwadowski

— Rozumiem — mówi doktor — ale to wszystko trzeba odłożyć na potem, inaczej cała kuracja na nic. Niech pani teraz wyjdzie, dam mu coś na uspokojenie.

Mama całuje mnie i odchodzi, a ja znów łykam to gorzkie obrzydliwstwo. Lekarz szorstkim, ale serdecznym ruchem klepie mnie po ręce.

— Nie myśl o niczym, nie wolno ci się denerwować.

Dobrze mu mówić, nie denerwować się! Jakże mogę być spokojny, kiedy leżę tu tyle dni i nie wiem, co się dzieje z Ewą, ze wszystkimi...

— Panie doktorze — chwytam odchodzącego lekarza za biały kitel — gdyby tu przyszła taka dziewczyna, czarna, wysoka, na imię ma Ewa... proszę ją wpuścić, dobrze?

— Czarna, wysoka — zastanawia się lekarz — czekaj ona tu już była parę razy... ubiera się w dżinsy? — pyta.

— Tak — potakuje z radością — to ona!

— Byłem wtedy nieprzytomny. Ale teraz... — patrzę błagalnie w oczy lekarza.

— No dobrze, jeśli przyjdzie, pozwolę jej wejść. Ale najwyżej na piętnaście minut — dodaje groźnie.

Radość mnie rozsadza, miałbym ochotę krzyczeć. Piętnaście minut czy pięć, co to znaczy wobec faktu, że Ewa tu przyjdzie...

— Dziękuję panie doktorze — mówię — to dla mnie bardzo ważne.

— Nie wątpię — kiwa głową doktor i uśmiecha się filuternie.

CDN.

dwaj na krypie

Rozdział XXIV

Decyzja

PODRÓŻ NASZA zbliża się do końca, przepłynęliśmy już grubo ponad tysiąc kilometrów, choć z mapy wynika, że tylko osiemset osiemdziesiąt sześć. Bowiem tablice kilometrowe rozmieszczone są na wałach przeciwpowodziowych, wysokich brzegach itp. Odległości między nimi mierzone są po liniach zbliżonych do linii brzegowych. A my, płynąc Wisłą, musimy trzymać się nurtu i w nieskończoność kręcić, omijać kępy, mielizny, a nawet niekiedy cofać się pod prąd. Każdy kilometr między tablicami to dla nas odległość o wiele większa.

Tak więc podróż nasza zbliża się do końca i teraz właśnie musimy rozstrzygnąć, gdzie nastąpi zakończenie rejsu. Przed nami: w lewo Wisła płynąca systemem kanałów i przekopów do Gdańska, w prawo śluza, która oddziela Wisłę od jej prawego odgałęzienia — Nogatu. Tędy można dostać się nad Zalew Wiślany. Jesteśmy więc już na Żuławach, wpływamy na obszary Delty Wiślanej.

I wtedy właśnie wpadła mi do głowy myśl, że skoro wypłynęliśmy spod stóp największego polskiego zamku — Wawelu, leżącego na południu Polski, rejs nasz powinien się skończyć pod najpiękniejszym zamkiem północy, pod twierdzą malborską.

Skręciliśmy więc w prawo, śluzujemy „EBORETA" w Białej Górze i płyniemy Nogatem do Malborka.

z miast skupiających w swoich murach najświatlejsze umysły ówczesnej Europy, Łódź znana jako centrum przemysłu włókienniczego. Wiele takich miast związanych jest po wsze czasy z jakimś sławnym nazwiskiem, jak np. Toruń z Kopernikiem, czy Gniezno z Mieszkiem I.

Malbork do nich nie należy. Głównym jego akcentem jest bowiem potężna twierdza, a właściwie ogromny zespół obronnych budowli, stawianych tutaj przez wiele lat, bo od 1274 roku, poprzez wieki XIII, XIV i XV.

W roku 1230 a więc 44 lata przed rozpoczęciem budowy przybył na te tereny niemiecki Zakon pod wezwaniem Najśw. Marii Panny, aby nawracać pogańskich Prusów zamieszkujących tu wraz z Pomorzanami. Przybysze w białych płaszczach naznaczonych czarnymi krzyżami zamiast nawracać pogan, drogą gwałtów, zdrady i przemocy opanowują całe Prusy i tworzą swoje państwo. Wkrótce

tach oblężeń, układów i kolejnych zdrad zamek poddaje się ostatecznie królowi polskiemu 6 sierpnia 1457 roku.

Jest to twierdza potężna, składająca się jak gdyby z trzech odrębnych części. Najdalej na południe leży najstarsza część fortecy, dawna siedziba wielkiego mistrza, zwana zamkiem Górnym. Obok usytuowany jest zamek Średni, oddzielony od Górnego Kleszą Wieżą. Od wschodu, zachodu i północy otaczają zamek tereny podzamcza.

Całość otoczona była w średniowieczu czterema liniami fortyfikacyjnymi, połączonymi za pomocą potężnych baszt w jeden system obronny. Oprócz tego wewnątrz fortyfikacji istniały jeszcze dodatkowe mury, baszty i bramy broniące siedziby wielkiego komtura i mury otaczające oba zamki.

Dziś, choć wszystko jest przywrócone do stanu dawnej świetności, trudno sobie nawet wyobrazić, jakie wrażenie sprawiał ten

mi, przy każdej bramie i zakratowanym oknie miał swoje komnaty on — wielki mistrz Zakonu, pan życia i śmierci wszystkich, ktorych mogła dosięgnąć jego ręka.

Z głębokich, piętrowych piwnic i ciemnych lochów rozciągających się pod twierdzą nie było wyjścia. Kto raz dostał się do lochów więziennych — zostawał tam na zawsze. Opowiadano tylko na podzamczu, że był kiedyś śmiałek, który wyrwał się śmierci. Uwięziony przez Krzyżaków jako młody chłopak, przesiedział w lochach całe życie i kiedy tajnym podkopem, robionym przez wiele lat, wydostał się wreszcie na wolność, oślepł od światła. Śpiewali o nim pieśni wędrowni bajarze i chodziły słuchy, że został jednym z nich, że pod zgrzebną koszulą krył się przed zemstą Zakonu potomek jednego z najznakomitszych rodów Rzeczypospolitej. Ile w tym prawdy — nie wiadomo.

Zakończenie

„EBORET II" stoi jeszcze na przystani w Malborku. Rzeczy wysłaliśmy już pocztą do Warszawy. Schodzimy z pokładu i robi się nam niewyraźnie. Przyzwyczailiśmy się do tej starej łajby, przeżyliśmy na niej równy miesiąc, znamy jej każdy kawałek, jak swoje pięć palców. Głupio tak ją zostawić na wodzie i odjechać.

— Co się tak guzdrzesz? — mówi Andrzej. — Zostaw już tę linkę, nie myślisz chyba zawiązywać jej przez następny miesiąc. Pociąg nam ucieknie.

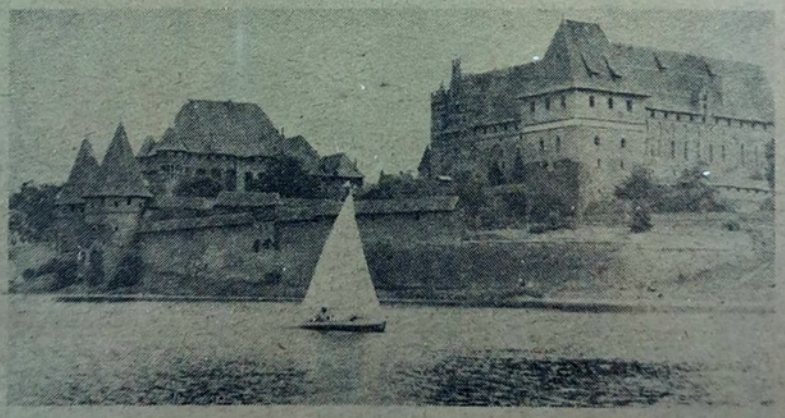

Rozdział XXV

W krzyżackiej twierdzy

WIELE JEST miast w Polsce, które stały się sławne dzięki zaletom i umiejętnościom ich mieszkańców a więc kupców, artystów, rzemieślników, naukowców. Ot, choćby wymienić Gdańsk słynny z handlu, Kraków ceniony w wiekach średnich jako jedno

wielki mistrz Zakonu Krzyżackiego przenosi się z Wenecji do zbudowanej już częściowo twierdzy malborskiej i stąd kieruje napadami na coraz to dalsze tereny. Nawet klęska Krzyżaków pod Grunwaldem w 1410 r. nie oddaje twierdzy w ręce polskie. Zamek opiera się oblężeniu Władysława Jagiełły przez blisko dwa miesiące. Wtedy to właśnie komtur Henryk von Plauen pali miasto i przedmieścia, aby wojska polskie i litewskie nie miały pod zamkiem oparcia. I dopiero po 56 la-

system budowli w czasach rządów Krzyżaków. Dziedzińce, komnaty i krużganki pełne dziś turystów i zwiedzających służyły kiedyś innym celom. Tutaj układano w tajemnicy plany napadów, przyjmowano zakapturzonych szpiegów, ustalano wysokość kontrybucji i okupów. Zakuci w stal knechci, ślepo posłuszni temu, kto dobrze płacił, wyruszali stąd na kolejne podboje. A w samym środku twierdzy, chroniony przez niezliczone straże porozstawiane za każdym zalomem murów, pod drzwia-

— Muszę porządnie obciągnąć brezent — odpowiadam — żeby deszcz nie napadał do środka, gdy nam ją będą transportowali z powrotem do Warszawy.

— Jeszcze popływamy — mówi po chwili Andrzej. — Zrobimy mały remont silnika i łodzi i popływamy na Wiśle w Warszawie.

— Ale to już nie będzie to — odpowiadam.

— Ano, nie będzie — potakuje Andrzej.

JERZY DĄBROWSKI
Foto autora

MORSKI KOKOS

● Ciekawe palmy tzw. „morski kokos" rosną na wysepce Preslin należącej do archipelagu Seszele na Oceanie Indyjskim. Osiągają one wysokość 30 metrów, a kokosowe orzechy, które rodzą się na nich, są olbrzymie i ważą prawie 13 kg. Dalszą „specjalnością" morskich kokosów jest to, że rosną tylko w jednym miejscu kuli ziemskiej — na wysepce Preslin. Naukowcy nie potrafili dotąd odpowiedzieć, dlaczego to rzadkie i piękne drzewo przesadzone gdziekolwiek indziej, usycha i ginie.

ŻYRAFA W SŁOŃCU

● Odpoczynek na zielonej trawce w piękny letni dzień nie jest tylko przywilejem ludzi. Ta żyrafa z ogrodu zoologicznego w Whipsnade korzysta z każdej chwili słońca, które jak wiadomo jest rzadkim gościem w deszczowej Anglii.

DZIELNY, MAŁY KOLIBER

● Koliber — najmniejszy ptak świata, ma wielu wrogów. Jednym z nich jest pająk — ptakojad. Koliber śmiało stawia mu „czoła", dzielnie posługując się swym długim i cienkim dziobem, którym stara się trafić w oko napastnika. Kolibry potrafią się też obronić przed innym wrogiem — drzewnymi żmijami.

Foto CAF

KWADRATOWE DRZEWA

Dolina „**kwadratowych drzew**", jedynych znanych na ziemi, znajduje się na północ od strefy Kanału Panamskiego. Drzewa te posadzono ostatnio na terenie uniwersytetu na Florydzie dla sprawdzenia, czy zachowają swój nie-zwykły kształt. Przypuszcza się, że kształt ten wywołany jest jakimiś czysto lokalnymi warunkami. Słoje tych „kwadratowych drzew" przedstawiające roczny przyrost są również kwadratowe.

PRZYGODA LOTNIKA

W Moskwie żyje lotnik, który dokonał nadzwyczajnego wyczynu: skoczył z samolotu znajdującego się na wysokości 7 tysięcy metrów nie otwierając spadochronu.

Było to 25 lat temu. W styczniu 1942 r. porucznik Armii Radzieckiej Iwan Czissow wyskoczył z zestrzelonego przez Niemców bombowca. Widząc, że hitlerowcy usiłują strzelać do unoszących się na spadochronach kolegów, odważny lotnik postanowił otworzyć spadochron tuż nad ziemią. Podczas lotu zaczął jednak koziołkować, a następnie wpadł w korkociąg. Rzemienie spadochronu przesunęły się na bok i pilot nie zdążył w ostatniej chwili otworzyć spadochronu.

Jednakże dopisywało mu szczęście. Czissow wpadł w głęboki nawis śnieżny nad krawędzią parowu. Przebił go i ze zmniejszoną szybkością zsuwał się po ośnieżonym zboczu, zaspie. Czissow doznał tylko kilku złamań kończyn. Nieco później radzieccy kawalerzyści znaleźli go w

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa" Warszawa ul. Bagatela 14. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Zam. 1100. T-47